NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata w Polsce: Kwartalnie 197·60 Marek, Półrocznie 3 5 20 Mk. Rocznie 790 40 Mrk. Ameryka: 8 dolarów rocznie. Numer pojedynczy 15 centimów.

Zmiana adresu 1 Markę.

Ceny ogłoszeń: za wiersz petitowy jednoszpaltowy na ostatniej stronie 5 Mp., na miejscu specyalnie zastrzeżonem Mp. 8·—, za wiersz nonparellowy, jednoszpaltowy 10 Mp., za wiersz petitowy w części redakcyjn. 20 Mp.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV.
ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).
Telefon Nr. 473.

Naczelny i odpowiedzialny redaktor: **Julian Bartoszewicz.**

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Legionów 21.

W Warszawie do nabycia wszędzie. **„Promień", Łódz, Piotrkowska 81.**

Należytość pocztowa opłacona ryczałtem. Numer pojedynczy 16 Marek.

Rok XVIII. Kraków, 5. marca 1921. Nr. 10.

Po wizycie Naczelnika Państwa w Paryżu



Marszałek Piłsudski składa wieniec na grobie „nieznanego żołnierza".

Od Wydawnictwa.

Szalejąca z dniem każdym coraz bardziej drożyzna, stawia nas znowu w tem przykrem położeniu, iż chcąc dalej służyć polskiemu społeczeństwu, zmuszeni jesteśmy podnieść cenę prenumeraty „Nowości illustrowanych".

Odtąd numer pojedynczy naszego pisma kosztować będzie

16 Mrp.

prenumerata zaś kwartalna 197·60 Mkp., półroczna 395·20 Mkp., roczna 790·40 Mkp.

Obecna podwyżka stosunkowo dosyć znaczna, w porównaniu z innemi wydawnictwami nie połączonemi, z takiemi jak nasze kosztami wyda się, każdemu nieuprzedzonemu usprawiedliwiona, jeżeli zważy, że wynagrodzenia personalu, papier, chemikalia i t. p. podrożały znacznie. Niektóre z niezbędnych do Wydawnictwa naszego pisma artykułów podrożały tysiąckrotnie.

Nie mogąc ich nabyć pomimo wszelkich starań w drodze legalnej skazani jesteśmy na łaskę przemożnego „paska." Utrudnia też sytuacyę niski stan naszej waluty. „Now. Ill." podrożały stosunkowo najmniej z pomiędzy pism polskich, podnosimy cenę o tyle tylko, aby pokryć wydatki i nie zamknąć rachunku deficytem.

Po wizycie Naczelnika Państwa we Francyi.

(Do illustracyi tytułowej).

Wizyta Naczelnika Państwa, marszałka Piłsudskiego, we Francyi, jest najważniejszem zdarzeniem



Po wizycie Naczelnika Państwa w Paryżu: Marszałek Piłsudski według zdjęcia dokonanego w czasie pobytu w Paryżu

politycznem z ostatnich czasów. Nie jest to objaw zwykłej zdawkowej kurtuazyi dwu państw, ale jawne stwierdzenie, że Polskę i Francyę łączy silna nić wspólnych interesów a wzajemne ich zbliżenie jest podyktowane koniecznością i stanowi zadatek ich przyszłej potęgi, a zarazem gwarancyę pokoju światowego, tak przez wszystkich upragnionego.

Polska i Francya mają wspólnego wroga, który rozsiadł się między niemi, a, choć z ostatniej pożogi światowej wyszedł z przytępionymi pazurami i podciętymi skrzydłami, mimo to groźnie podnosi głowę, nie kryjąc się z tem bynajmniej, że celem jego jest zniszczenie obu tych państw, stanowiących przeszkodę w jego rozwoju i zdobyciu panowania nad światem. W interesie Niemiec leży złamanie potęgi francuskiej i zgnębienie Polski, tamującej ich ekspanzyę ku Wschodowi. To wspólne niebezpieczeństwo kazało im też szukać ratunku dla siebie w najściślejszem wzajemnem zbliżeniu się, którego widomym znakiem była wizyta marszałka Piłsudskiego w Paryżu, dokąd się udał na skutek oficyalnego zaproszenia ze strony prezydenta Francyi, Milleranda. Sojusz to zatem zupełnie naturalny, nie sztuczny, dający tem samem gwarancyę, że będzie silny i trwały. Potrzebują go oba państwa, Francya, aby powetować szkody, jakie jej wyrządziła wojna światowa, Polska, by nabrać sił do należytego rozwoju młodego, budzącego się do życia organizmu państwowego, po stuletniej przeszło niewoli. Dla Polski ma to być zarazem zapewnieniem bezpieczeństwa od strony wschodniej i ułatwieniem jej spełnienia swego dziejowego posłannictwa, które, jak ongi kazało jej być przedmurzem chrześcijaństwa, tak znów obecnie stworzyło z niej wał ochronny dla zachodniej kultury, zagrożonej poważnie przez bolszewizm.

Przebieg odwiedzin Naczelnika Państwa we Francyi znany jest Czytelnikom z doniesień pism codziennych, nie będziemy zatem powtarzać szczegółów entuzyastycznego przyjęcia z jakiem się marszałek Piłsudski spotykał na każdym kroku, zwrócimy tylko uwagę, że cel tych odwiedzin został w pełni osiągnięty, czego dowodem konwencya militarna między obu państwami, zapewniająca sobie pomoc na wypadek grożącego niebezpieczeństwa, oraz jeszcze ściślejsze, niż dotąd, zadzierzgnięcie węzłów ekonomicznych. Francya dała zupełnie niedwuznacznie do poznania światu, że zależy jej na tem, aby Polska stała się mocarstwem i pozbyła się przeszkód, wstrzymujących jej rozwój.

Wzajemny stosunek obu państw omówiono też wyczerpująco w Paryżu na licznych konferencyach, jakie odbyli ze sobą polscy i francuscy mężowie stanu. Z tego powodu znajdowali się w świcie Na-



Po wizycie Naczelnika Państwa w Paryżu: Marszałek Piłsudski podczas zwiedzania pola bitwy pod Verdun.

czelnika Państwa: minister spraw zagranicznych Sapieha i minister spraw wojskowych, jen. Sosnkowski, co wskazuje na to, że w grę wchodziły tu sprawy natury politycznej i wojskowej, co zresztą stwierdziły już urzędowe komunikaty, wydane z tego powodu.

Rzecz oczywista, że nie omieszkali skorzystać ze sposobności wszyscy ci, którym wzajemne zbliżenie Polski i Francyi jest nie na rękę i dali wyraz temu w oddanej sobie prasie. Głosy niemieckie



Po wizycie Naczelnika Państwa w Paryżu: Marszałek Piłsudski w rozmowie z prezydentem Millerandem.

stwierdzają też, że w Berlinie zrozumiano dobrze znaczenie polsko-francuskiego sojuszu, to samo mówi i prasa komunistyczna, nawet francuska, obałamucona przez różnych Margulies'ów i jemu podobnych „istinno russkich", wylewająca na Polskę całe kubły pomyj.

To zaniepokojenie w obozach naszych wspólnych wrogów, jest najlepszym dowodem, że cel polsko francuskiego porozumienia i ścisłego związku został w pełni osiągnięty i że się tam z nim liczą poważnie. Silna Francya na Zachodzie, a Polska na Wschodzie, to najlepsze zapewnienie pokoju światowego, mającego ludzkości ułatwić powrót stosunków na normalne tory i stanowić gwarancyę na przyszłość, że coś podobnego, jak to, co miało miejsce za naszej pamięci, tak rychło się już nie powtórzy.

Nazwiska Milleranda i Piłsudskiego, jako w zbliżeniu polsko francuskiem odgrywających najważniejszą rolę, zapisze też historya na swych najpiękniejszych kartach.

Zgon polskiego uczonego.

Krakowską Almam Matrem Jagellonicam okryła znowu żałoba. W niedzielę dnia 27 lutego zmarł śp. Maurycy Straszewski, długoletni profesor filozofii ścisłej na naszej Wszechnicy. Działalność jego profesorska, przypada na okres odradzania się i powrotu do dawnej świetności naszej najwyższej uczelni, około rozwoju której położył wybitne zasługi. Długoletnia działalność jego profesorska i naukowa spotkała się z należytem uznaniem swoich i obcych, a nazwisko Straszewskiego zapisało się chlubnie w historyi rozwoju polskiej filozofii, której sumiennemu badaniu poświęcił całe życie.

S. p. prof M. Straszewski urodzony w r 1848 w Lutoryżu w Rzeszowskiem, już we wczesnych swoich latach oddawał się z zamiłowaniem naukom filozoficznym ze szczególnem zainteresowaniem. Skończywszy uniwersytet w Pradze i Wiedniu, gdzie w roku 1870 otrzymał stopień doktora filozofii pizez pewien czas odbywał studya w uniwersytetach w Berlinie, Lipsku i Zurychu i już w roku 1872 został docentem filozofii w uniwersytecie krakowskim. W kilka lat później mianowany nadzwyczajnym profesorem z obowiązkiem wykładania pedagogii. W roku 1884 otrzymał katedrę filozofii, na której wykładał aż do roku 1910. W międzyczasie śp. prof. Straszewski odbył podróż po Anglii i Szkocyi, jako delegat uniwersytetu Jagiellońskiego na uroczysty obchód trzechsetnej rocznicy założenia uniwersytetu w Edynburgu. — W roku 1886 brał udział w pracach siódmego międzynarodowego zjazdu oryentalistów w Wiedniu.

W roku 1889 śp. prof. Straszewski został posłem do parlamentu austryackiego, gdzie był członkiem Koła Polskiego. Po złożeniu mandatu poselskiego, wrócił na katedrę uniwersytecką i brał z powrotem żywy udział w pracy naukowej. Założył on Kółko filozoficzne U. J., w którem młodzież pod jego kierunkiem dyskutowała nad najważniejszemi problemami filozoficznemi.

S. p. Straszewski zostawił szereg cennych rozpraw naukowych z dziedziny filozofii, między innemi pracę o „Filozofii Spinozy i dzisiejszym panteizmie", o „Charakterze" i wiele innych.

Z większych dzieł, które wyszły z pod jego pióra, wymienić należy „Dzieje filozoficznej myśli polskiej w okresie porozbiorowym", wyd. w roku 1912. — Dzieło to było dokumentem umiłowania przez zmarłego filozofii narodowej. We wstępie zaznacza autor: Dzieła niniejszego nie pisałem, bo nie mogłem pisać na chłodno. Należę do pokolenia, dla którego Polska wolna i niepodległa nie była i nie jest mytem. Dzieckiem wsłuchiwałem się w opowiadania tych, co wolną Polskę jeszcze pamiętali, za nią walczyli i cierpieli. Somosierra, Berezyna, bohaterskie walki czy pod Lipskiem, czy pod Grochowem są mi znane nietylko z książek, ale z żywego słowa naocznych świadków. Zapomnieć o tem, co było, zrzec się ideałów przyszłości pogodzić się z rzeczywistością dzisiejszą za „miskę soczewicy", to dla mnie niemożliwe". Słowa te są niejako programem dzieła, a równocześnie i jego genezą. Ponadto kierował zmarłym żal, że Polacy nie umieją ocenić własnej filozofii, której nawet na ogół nie znają. Że filozofię własną posiadamy, dowodem tego miały być „Dzieje filozofii", niestety doprowadzone tylko do roku 1830 Nad dalszemi tomami zmarły pracował do ostatniej chwili. Dodać należy, że we wspomnianych „Dziejach" śp. prof. Straszewski wskrzesił szereg zapomnianych filozofów polskich z końca XVIII. i początku XIX. wieku, a przedewszystkiem szczegółowo opracował i scharakteryzował najwcześniejsze prace Hoene Wrońskiego.

W ostatnich czasach śp. prof. Straszewski ogłosił „Rozprawy polityczne", wydane w języku



Po wizycie Naczelnika Państwa w Paryżu: Marszałek Piłsudski w towarzystwie ministra wojny Barthou i marszałka Petain podczas zwiedzenia pobojowisk.

polskim i niemieckim, wykazujące polityczną potrzebę utworzenie niepodległej Polski.

Po otwarciu uniwersytetu w Lublinie, zaproszony do wykładania filozofii, poszedł śp. M. Straszewski za tem wezwaniem i przez kilka semestrów wywiązywał się chlubnie z przyjętego zadania.

Brał także żywy udział w życiu społecznem i narodowem. Jako prezes „Straży polskiej", uczestniczył wraz z tą instytucyą w ważniejszych uroczystościach i manifestacyach narodowych. Jako potomek założyciela plantacyj krakowskich, był śp. M Straszewski dożywotnim kuratorem tej ozdoby Krakowa i jako taki był członkiem komisyi plantacyjnej krakowskiej Rady miejskiej, w której pracach żywy brał udział.

Nauka polska traci w zmarłym profesorze jednego z nielicznych przedstawicieli filozoficznej myśli polskiej, badacza, zamiłowanego w swoim zawodzie, do którego umiał zachęcić szersze koła naszej młodzieży.



Po wizycie Naczelnika Państwa w Paryżu: Przegląd wychowanków szkoły wojskowej w St. Cyr. na błoniach Satory.

Zmiana na stanowisku komendanta Krakowa.

W szeregu zmian jakie w ostatnich czasach zaszły na naczelnych stanowiskach w naszej armii, nastąpiła też zmiana komendanta Krakowa. Miejsce jenerała Stillera, takiem uznaniem cieszącego się tak w kołach wojskowych, jak i w najszerszych sferach cywilnego społeczeństwa, zajął jenerał podporucznik Zdzisław Kostecki.

Nowego komendanta miasta i obozu warownego krakowskiego poprzedziła sława dzielnego żołnierza, znakomitego organizatora, a nadto gorąco kochającego kraj swój obywatela. Urodzony we Lwowie nie jest przecież obcym dla Krakowa, ukończył bowiem w młodych latach Szkołę kadecką w Łobzowie.



Zgon polskiego uczonego: Śp. Maurycy Straszewski były profesor filozofii ścisłej na Uniwersytecie Jagiellońskim.

Całą wojskową służbę odbył w austryackim 6 pułku ułanów, który to po upadku Austryi przeformował na 6 pułk ułanów polskich. Jaką sympatyą cieszył się wśród swych kolegów, świadczy fakt, iż oficerowie Polacy jak i obcokrajowcy przywiązani do pułku i jego dowódcy wszyscy przeszli do służby w armii polskiej i w ciągu dwuletnich bojów złożyli liczne dowody dzielności i poświęcenia.

Na czele 6 pułku ułanów brał jen. Kostecki w r. 1918 wybitny udział w walkach z Ukraińcami, poczem, objąwszy dowództwo 2 brygady jazdy odchodzi na front litewsko-białoruski, gdzie przebywa walki nad Ptyczą. Z wiosną 1920 przechodzi pod dowództwo 9 dywizyi piechoty, w ofenzywie Kalinkowicze—Szawełki docierając zwycięzko aż do Dniestru i zdobywając na nieprzyjacielu wiele materyału wojennego. W widłach dnieprowych kieruje walkami, osiągając znakomite sukcesy. Poczem w lecie 1920 walczy w puszczy białowieskiej o Wysokie Litewskie, Mielnik. W ofenzywie bolszewickiej znajdujemy go na najtwardziej zagrożonych posterunkach w okolicy Siedlce, nad Bugiem, pod Warszawą i w obszarze dolnej Wisły, wszędzie wywiązując się w nader chlubny sposób ze swojego zadania, za co spotyka się z wielokrotnie wyrażonem uznaniem Naczelnego Dowództwa.

Na nowem stanowisku przyczyni się niewątpliwie jenerał Kostecki, dzięki zaletom swego serca i umysłu, do nawiązania jeszcze silniejszych niż dotąd węzłów między wojskowością a obywatelstwem miasta.

Na rzecz Górnego Śląska.

Sprawa Górnego Śląska w miarę zbliżania się terminu plebiscytu zajmuje coraz poważniej opinię publiczną, a agitacya w tym kierunku zatacza coraz to szersze kręgi. Społeczeństwo polskie przygotowuje się bardzo energicznie i gorliwie do walki plebiscytowej, a można śmiało powiedzieć, że niema w Polsce miejscowości, która nie zainteresowałaby się tą, tak dla nas dziś aktualną i żywotną kwestyą. A walka to bardzo ciężka, mamy bowiem przeciwko sobie nieprzyjaciela, nie liczącego się bynajmniej z kosztami byle tylko nie wypuścić z swych rąk rdzennie polskiej ziemi, uznanej przecież przez Niemców za rdzennie niemiecką. Berlin sypie też hojnie pieniędzmi, na cele plebiscytowe, wiedząc o tem dobrze, że „osioł obładowany złotem“ potrafi przezwyciężyć najcięższe przeszkody.

My stajemy do walki ufni w przyszłość naszej sprawy, co jednak nie wyklucza, że akcya, jaką rozwinęliśmy na całym terenie plebiscytowym, połączona jest z wielkim wysiłkiem finansowym. Społeczeństwo polskie, nie tak zasobne jak niemieckie, nie żałuje przecież grosza na cel tak żywo nas obchodzący, a na tym punkcie panuje zupełna jednozgodność między wszystkiemi stronnictwami polskiemi. „Śląsk musi być nasz“ — rozbrzmiewa dziś głośnym echem po całej Polsce.

We wszystkich, nawet najmniejszych miastach, także i po niektórych wsiach polskich potworzyły się komitety zajmujące się gorliwie sprawą plebiscytu na Górnym Śląsku, przedewszystkiem zaś zbieraniem niezbędnych na ten cel funduszów. Ludność nie skąpi też grosza, wiedząc o tem, że rozchodzi się tutaj o los setek tysięcy rodaków, pragnących gorąco jak najrychlejszego połączenia się z Macierzą.

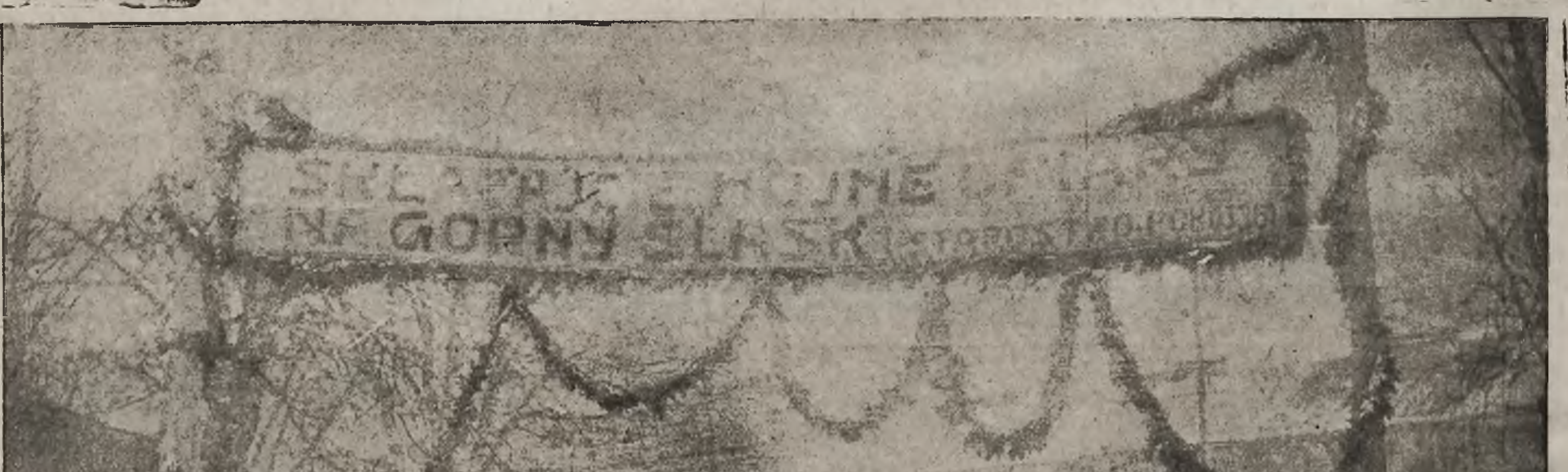
Z uznaniem podkreślić należy owocną działalność, jaką w tym kierunku rozwinął Komitet górnośląski w Łomży. Ziemia łomżyńska, która w ciągu światowej wojny tyle ucierpiała, a ostatnio w czasie



Zmiana na stanowisku komendanta Krakowa: Nowomianowany komendant miasta Krakowa jenerał Zdzisław Kostecki.

bolszewickiej ofenzywy została znowu zniszczoną, ofiarnością swoją daje piękny przykład innym dzielnicom, jak pełnić należy obywatelskie powinności. Komitet łomżyński w krótkim stosunkowo czasie dzięki energii i zapobiegliwości swych członków, zebrał na cele plebiscytowe z górą milion siedemset tysięcy marek. Łomża jest jedyną dziś miejscowością

(Dalszy ciąg na str. 9).



Na rzecz Górnego Śląska: Komitet plebiscytowy w Łomży: 1) Prezes Rady Obrony Państwa i Komitetu górnośląskiego A. Cholewiński. 2) Kierownik Wydziału Propagandy por. K. Kierkowski, 3) Prezydent miasta Łomży Wł. Świderski.

MATYLDA SERAO

UCIĘTA RĘKA

TŁOMACZYŁA
MARYA TOCZYSKA

31

I.

– Nie panienko! To się stać nie może!

– To stać się musi – odparła łagodnie lecz stanowczo, młoda dziewczyna.

– Przybyłam aż dotąd nie tracąc nadziei, że panienka pożałuje tego kroku.

– Miałabym żałować, że poświęcam się Bogu!

– Nie! nie! Ale myślałem, że panienka znajdzie takie schronienie, z którego wyjść jeszcze będzie mogła.

– Zgłosiłam się dobrowolnie do „Pogrzebanych żywcem" – Wiesz o tem.

– O ! Wielki Boże! Ty gołąbko moja, taka piękna, taka stworzona do miłości!

– Nie mów mi o miłości i milcz już, błagam cię. Najlepiej będzie jak rozstaniemy się teraz. Dałam ci potrzebne pieniądze na powrót do twojej wsi rodzinnej. Ukaj się tam. Ja, będę tu bezpieczna przed wszelkiemi burzami życia!

– Czy więc mam się na zawsze pożegnać z tobą, gołąbko moja?

– Na zawsze!

– Nie odjadę z tąd! Nie mogę odjechać – jęknęła służąca wybuchając płaczem.

– Coż byś ty robiła w Neapolu? Jesteś tu obca i nie znasz nikogo.

– Ty jesteś tutaj gołąbko moja!

– Ale nie możesz mnie widywać.

– Wiem, że niekiedy wolno jest odwiedzać nowicyuszki.

– Zkąd masz tę wiadomość? Ale poco ta rozmowa!? – westchnęła smutnie nowicyuszka, skoro pożegnać się musimy.

– Panienko! pozwól mi chociaż pozostać w Neapolu. Znajdę przecież gdzieś służbę jaką. Jestem silna i mogę jeszcze pracować.

– Nie, Róziu, wymówiła cicho nowicyuszka odwracając się od niej.

– Przyrzekam, że przychodzić tu nie będę.

– Oni by mogli wpaść na twój ślad i przez ciebie odnaleść mnie.

– Oni! Ojciec panienki!?

– Tak, ojciec mój przedewszystkiem. Przeklął mnie, lecz wiem, że mnie szuka. I wierz mi Róziu, nie kryłabym się ja przed nim, gdybym nie wiedziała, że szuka mnie na rozkaz... tamtego!...

– Oh! tamten! tamten! szeptała Rózia drżącym głosem.

– Człowiek znienawidzony, nikczemny! On to jest sprawcą wszystkich moich nieszczęść. Oh! Róziu! pomyśl, co za straszny los, gdyby on wiedział gdzie jestem.

– A cóżby on mógł zrobić takiego, panienko!?

– Kto wiedzieć może!? Ale mury tego klasztoru grube są i wysokie i w nich to imię Racheli Kabib zaginie na wieki.

– Gracya Kabib!

– Tak, Gracya! Jest to nowe moje imię, imię mojego zbawienia.

W tej chwili do poczekalni weszła siostra furtyanka z oznajmieniem, że matka przełożona oczekuje nadejścia nowicyuszki.

– Pożegnajmy się Różo, już czas – wymówiła Rachela łagodnie.

Obydwie kobiety nie zważając na różnice stanowisk dzielących je od siebie, padły sobie w objęcia łkając cicho.

– Żegnam cię Różo, żegnam. Niech Bóg ma cię w opiece swojej – szeptała nowicyuszka nie mogąc zapanować nad wzruszeniem.

– Do widzenia, gołąbko moja. Nie tracę nadziei, że ujrzę cię jeszcze, do widzenia. Nie zapomnij też całkiem o mnie prosiła służąca pocałunkami okrywając jej ręce.

Kiedy drzwi zamknęły się za odchodzącą nowicyuszka wyprostowała się blada, z płonącemi oczami i zwracając się do oczekującej furtyanki rzekła z mocą.

– Chodźmy, jestem na usługi matki przełożonej.

Rozmowa z przełożoną trwała przeszło godzinę, a w krótki czas potem, nowicyuszka, która zaprowadzona została do przeznaczonej dla niej celi, przywdziała na siebie ubranie zakonne wraz z imieniem siostry Gracyi, które odtąd zawsze już nosić miała.

Siostra Gracya urodą swoją i młodością zainteresowała natychmiast wszystkie zakonnice zebrane w klasztorze, lecz matka przełożona musiała wydać rozkaz pozostawienia jej w zupełnym spokoju, bo żadna z nich, choć uśmiechały się do niej życzliwie, nie zwróciła się do niej z żadnem zapytaniem.

Oryginalną urodę siostry Gracyi, przyćmić nawet nie mogły, ciężkie i niezgrabne szaty zakonne. Czepeczek z białego muślinu nie był wstanie zakryć jej bujnych, czarnych włosów, splecionych w dwa grube warkocze. Dumna jej twarz o brwiach zawsze ściągniętych nosiła jeszcze wybitne ślady silnych namiętności ludzkich. Oczy jej, nie zamglone nigdy łzami gorzały wewnętrznym ogniem, w którym przebijały się niekiedy przebłyski nienawiści i gniewu.

Cela siostry Gracyi mieściła się obok celi siostry Serafiny, lecz pomiędzy obydwoma kobietami nie zawiązały się żadne stosunki ściślejsze. Przechodziły zawsze obok siebie w milczeniu, nie zamieniając ani jednego uśmiechu.

Różnica jaka zachodziła pomiędzy niemi była tak uderzająca, że wszystkie zakonnice zwrócić musiały na nią uwagę. Siostra Serafina wysoka, blada, zniszczona już latami i chorobą, z pięknemi wyblakłemi oczami, jakgdyby przyćmionemi wylanemi łzami, była uosobieniem łagodności, spokoju i skupienia w sobie.

Siostra Gracya zaś, młoda, piękna, pełna życia i temperamentu, miała olbrzymie płonące oczy, wyraz twarzy dumny i nieugięty. Widocznem było, że tylko siłą woli przymusza się do ostrych reguł klasztornych. Gdy modliła się nie było pokory i łez w jej spojrzeniu, tylko błaganie jakieś namiętne.

Zdawało się, że ta olbrzymia różnica zdradzająca się z ich usposobieniem, powinna być przeszkodą w zbliżeniu i zrozumieniu się duchowem obydwóch nowicyuszek, stało się jednak inaczej.

Dwa, czy trzy razy siostra Serafina i siostra Gracya znalazły się sama na sama na chórze, w kaplicy. Zazwyczaj modliły się w skupieniu nie wzracając na siebie uwagi. Lecz pewnego razu, siostra Gracya, która klęcza a wsparta głową o krawędź ławki, przesuwając machinalnie w palcach ziarnka różańca, podniosła głowę i długą chwilę patrzała na modlącą się we łzach towarzyszkę. Siostra Serafina zdawała się ugnać, pod ciężarem jakiejś ciężkiej boleści. Głębokie rozpaczliwe westchnienia, raz po raz wybiegały z jej piersi.

– Co ci jest moja siostro? przerwała milczenie siostra Gracya. Cierpisz, nieprawdaż?

– Tak, moja siostro, cierpię bardzo.

– Niech cię Bóg pocieszy – szeptała siostra Gracya ze współczuciem.

Przez kilka dni nie mówiły do siebie, z powodu okoliczności, które się na to składały, ale jednego dnia spotkały się znowu w ogrodzie, w chwili, kiedy siostra Gracya, zbierała pierwsze róże dla przybrania kaplicy.

– Lubisz kwiaty, siostro? zapytała cicho siostra Serafina.

– Lubiałam je niegdyś..

– A teraz, już nie?

– Kwiaty są dla istot szczęśliwych odpowiedziała w zamyśleniu siostra Gracya.

– To prawda, siostro.

– A ty, lubisz je?

– Oh! tak! bardzo! Ale jest ich tak nie wiele w kraju moim.

– Kraj twój siostro, znajduje się daleko?

– Na północy.

– Na północy?

– Tak, bardzo, bardzo daleko!

– Zimno tam bardzo, nieprawdaż?

– Bardzo zimno.

– Tutaj za to mamy tak ciepłe słońce – wyrzekła siostra Gracya wznosząc oczy w niebo.

W dniu tym nie rozmawiały dłużej.

Lecz jednej nocy, kiedy nieszczęśliwa Rachela, dręczona ciężkiemi przypomnieniami, błąkała się podniecona, rozdrażniona po swojej celi, zdało się jej, że słyszy szelest jakiś w celi siostry Serafiny. Zrazu nie zwracała na to uwagi, lecz po chwili z za ściany dobiegło ją rozpaczliwe, stłumione łkanie.

– Jak ona cierpi, biedna – szepnęła z litością siostra Gracya.

Uklękła na twardej podłodze aby w modlitwie znaleść trochę uspokojenia, ale jęki z drugiej celi dochodziły coraz wyraźniejsze. Siostra Gracya zatrwożyła się i sądząc, że może tamta pot zebuje jej pomocy, chciała wyjść i zapukać do jej drzwi. Ale przypomniała sobie surowy zakaz matki przełożonej, nie dozwalający siostrom wydalać się w nocy ze swoich cel. Stanęła więc niezdecydowana i po chwili namysłu zapukała silnie w ścianę i zawołała półgłosem:

– Siostro Serafino... to ja... siostra Gracya...

– Nowicyuszka nie odpowiedziała na to wołanie, tylko jęk jeszcze rozpaczliwszy wybiegł z jej piersi. Siostra Gracya więc, nie zważając już na nic wybiegła spiesznie ze swojej celi i weszła do celi znajdującej się obok.

Maleńka, oleina lampka tliła się przed obrazem Matki Boskiej nad łóżkiem. Siostra Serafina leżała na wznak, z oczami szeroko rozwartemi, z otwartemi ustami, w zupełnym bezruchu jakgdyby martwa. Nie zauważyła nawet wejścia siostry Gracyi.

– Siostro moja... co ci jest? Dlaczego rozpaczasz tak strasznie – szeptała siostra Gracya ujmując jej bezwładną rękę.

– Umieram... westchnęła siostra Serafina patrząc na nią nieprzytomnie.

– Gdzie cię boli, powiedz? Może ci jaką ulgę sprawić będę mogła?

– Serce... Oh! serce... boli – wymówiła nowicyuszka gasnącym głosem.

Siostra Gracya spostrzegła, że oddychała z wielką trudnością, unosząc ciężko głowę dla pochwycenia powietrza.

– Co mam robić? siostro, powiedz, co mam robić? zapytała niespokojnie.

– Nic... nic...

– Nie mogę patrzeć na twoje cierpienia.

– To nic... to nic... powtórzyła siostra Serafina z trudem. Ale w tej chwili jęk jeszcze boleśniejszy skrzywił jej usta i twarz jej okryła się trupią bladością.

Siostra Gracya przerażona skoczyła ku niej i uniosła ją wysoko na poduszce. Poczuła wówczas, że serce nowicyuszki biło bardzo mocno i nieregularnie.

– Boże! a jeżeli ona umrze teraz! pomyślała z trwogą.

Po chwili oddech siostry Serafiny stał się spokojniejszy.

– Gdybyś nie była przyszła siostro, unieść mnie, byłabym skończyła – wyszeptała ledwie dosłyszalnym głosem... Nie mogę leżeć w tej pozycyi.

– Czy chcesz siostro, żebym zawołała kogo?

– Nie, to niepotrzebne...

– Tak, bez pomocy...

– Śmierć nie jest wielkiem złem – wymówiła smutnie nowicyuszka.

Ale natychmiast opadła na poduszki w nowym, silniejszym jeszcze ataku. Ciało jej prężyło się w konwulsyach, przez zaciśnięte zęby oddech wybiegał ostry, świszczący...

– Umieram... Boże mój... umieram.

– Odwagi, siostro, odwagi – pocieszała ją siostra Gracya unosząc znowu w ramionach.

– Atak trwał blizko pół godziny. Siostrze Gracyi zdawało się, że w ramionach swoich trzyma już martwe ciało swojej towarzyszki. Ale kiedy pod ręką wyczuła lekkie bicie jej serca i ujrzała, że na twarz jej siną słaby występuje rumieniec, odetchnęła z ulgą.

– Czujesz się już lepiej, siostro, nieprawdaż? zapytała pochylając się ku niej.

– Lepiej... Nie umrę jeszcze tym razem...

– Czy dawniej także cierpiałaś w ten sposób?

– Tak... kiedy żyłam w świecie...

– I tego uleczyć nie można?

– Dlaczego więc siostro przyszłaś się zamknąć w tym klasztorze, będąc tak poważnie chora?

– Ażeby przeżyć w spokoju ten krótki czas, który mi pozostaje do życia.

– I nie znalazłaś tego spokoju tutaj, siostro.

– Tak, nie znalazłam... Choroba moja jest niezwalczona.

– Miej wiarę w Boga siostro.

– Mam ją... mam... – odpowiedziała szeptem siostra Serafina, patrząc błędnie w przestrzeń.

– I odwagi także trochę siostro.

– Oh! siostra moja, niemam jej, już niemam – zawołała nowicyuszka wstrząsając głową.

– Musisz mieć siostro wielkie zmartwienie, wiele przykrości?..

– Wiele... bardzo wiele.

– Nie trzeba o tem myśleć.

(Ciąg dalszy nastąpi).

M. STAWISZ.

GORĄCZKA ZŁOTA

POWIEŚĆ

34 I.

— To Katarzyna wie gdzie pan jest? — podeszła do niej Kazia, która razem ze Stasią osłupiałe przysłuchiwały się tej rozmowie.

— Wiedzieć nie wiem — ale każdy się domyśli łatwo, co robią z takimi panami. Kazali się panu zebrać i wzięli ze sobą i już.

— To może ojca aresztowali — odezwała się lękliwym głosem Stasia, patrząc przestraszonemi oczami na matkę.

— A co by nie! — odparła szorstko kucharka. — Za takie rzeczy to każą! już dosyć głód i nędza dokucza biednym ludziom, a niegodziwi ludzie chcą jeszcze na nich dorabiać się lekkiego majątku. Musi być przecież jakaś sprawiedliwość na bożym świecie!

— Aresztowany! Aresztowany! — wybuchnęła rozpaczliwym płaczem Gawlikowa. I co my teraz poczniemy! Boże! Boże! co za nieszczęście!! Ja tego nie przeżyję! I wstyd i taka strata! bo przecież to co zabrali, to już na zawsze przepadło! Jakże teraz ludziom w oczy spojrzeć! Na żebraczy chleb chyba pójść na stare lata!

— Pana jeszcze mogą wypuścić za kaucyą — odezwał się milczący Franciszek. — Słyszałem, że takie rzeczy zrobić się dadzą.

— Za kaucyą! — pochwyciła skwapliwie Gawlikowa.

— Chyba, że tam jeszcze o co innego chodzi — zauważył Franciszek niechętnie.

— O co? o co?

— Gdyby o te towary sprawa była, toby tylko skonfiskowali i jakąś karę pieniężną nałożyli, ale że pana zabrali, to coś w tem jeszcze innego być musi. Może te towary na kredyt były wzięte i teraz niema czem dostawcę zapłacić!

— Co znowu? — oburzyła się Gawlikowa. — Czy to pan nie miał pieniędzy zawsze dosyć? Ciągle przecież interesa różne robił, na których dobrze zarabiał? A i w banku złożone były....

— Ja tam niewiem, proszę pani — odparł wymijająco Franciszek — tylko dobrze by było zdaje mi się dowiedzieć się... starać się widzieć z panem...,

— A jak, jak? ja nie mogę chodzić tam kompromitować się — jęknęła Gawlikowa. — Boże! mój Boże! Żeby tylko ten „Kuryerek" nie rozpisał się o tem. Uciekaćby nam chyba przyszło z Krakowa.

— Może pan Grodzicki — podsunął Franciszek po namyśle.

— Oh! tak, tak — Wujek! Wujek! — zawołała żywo Stasia — on tylko jeden to zrobić może. — Pójdzie i dowie się o wszystkiem.

— Czy będzie tylko chciał — zauważyła cierpko Kazia. — Wiesz, że się trzyma teraz z daleka od nas i nie wiadomo o co się dąsa.

— Ale w nieszczęściu on jeden tylko przyjdzie nam z pomocą — zapewniała gorąco Stasia. — Narzeczonego twojego chyba o to prosić nie można.

— Jeszcze tego by tylko brakowało — obruszyła się Kazia. — Czy tylko się już o tem nie dowiedział? Jak on to przyjmie mój Boże!

— Nie pora o tem myśleć proszę panienki — wtrącił się Franciszek. — Panna Stasia niech się zobaczy z panem Grodzickim i to jak najprędzej, taka jest moja rada.

— Pewnie, że tak trzeba będzie zrobić — zadecydowała Gawlikowa, choć co to mnie kosztować będzie! Do niego teraz się zwracać, w takiej chwili! Przecież on rad będzie z tego co się stało i tylko się z nas wyśmieje.

— Oh! nie mamo! Wujek się z nas nie wyśmieje — broniła Grodzickiego Stasia. — On za dobry jest i za szlachetny!

— Ah! ty; to zawsze byłaś po jego stronie — rzekła z wymówką Gawlikowa. Ale co robić! Idź zaraz do niego i powiedz mu wszystko. Albo może sprowadź go tutaj — dodała po krótkiem wahaniu, choć jeszcze tak zdenerwowana, że nawet niewiem jak z nim mówić będę.

— Wujek już sam zrobi co uzna za stosowne — odparła Stasia, nakładając prędko kapelusz i płaszczyk. Żebym go tylko zastała w domu.

— To nie pójdziesz do fabryki? — zapytała Kazia.

— Nie, już za późno. Pójdę do jego mieszkania.

— A nie siedź długo — upominała Gawlikowa.; — ja się tu chyba rozchoruję ze zmartwienia.

— — — — — — — — — — — — — — — — — —

Ciepły, lipcowy dzień miał się już ku końcowi, kiedy Stasia biegła na ulicę Kolejową, do mieszkania Grodzickiego. Powietrze było dosyć parne, a po niebie wlokły się nisko ciężkie chmury. Pomimo jednak niepewnej pogody, na plantach było tak tłumnie, że Stasia nie mogąc się przecisnąć, zmuszona była skręcić w boczną, węższą aleję.

Choć wielki niepokój co do losu ojca i rodziny dręczył ją, czuła radość, że wkrótce zobaczy się z wujem, w którego dobroć i życzliwość wierzyła gorąco.

— Tylko jeden wujek — powtarzała z uporem, przyjść nam może teraz z pomocą. Jestem pewną, że nie odmówi mej prośbie. A może wyjaśni treść swojego ostatniego listu.

I nagle, pomimo wszystko uczucie żywej radości uderzyło w nią, każąc zapomnieć na chwilę o innych troskach i niepokojach. I wielka równocześnie tęsknota za Franką i Felkiem i zatargała nią. Przypomniała sobie jak kilka tygodni temu biegła tą samą drogą, zrozpaczona i zniechęcona po ratunek do Grodzickiego. Zdawało jej się wówczas, że wszystkie jej najserdeczniejsze nadzieje zgasły na zawsze, że grozi jej przyszłości wyśniony cios, którego jej słabe dłonie odeprzeć od siebie nie będą miały siły.

I wówczas Grodzicki zawsze rozumny i dobry, kazał jej być cierpliwą, przeczekać ten przykry czas przejściowy, poddać się pozornie woli rodziców i zwalczyć w sobie bunt w oczekiwaniu lepszych dni.

Czyżby teraz miała ją czekać nagroda, za tę walkę, którą stoczyła sama z sobą, za ten codzienny przymus, który zadawała sobie, za to pogrzebanie konieczne marzeń w najgłębszym za kątku duszy!?

Stasia przeżywając te myśli, czyniła sobie wyrzuty, że w chwili, która groziła może ruiną całej jej rodzinie, zatapia się tak egoistycznie w sobie, ale wspomnienie Franka było na razie silniejsze nad wszystko.

Z jakąż ochotą pobiegłaby teraz do Felki, przywitać się z nią, porozmawiać, nacieszyć jej widokiem w otoczeniu sprzętów jej skromnego pokoiku, który przypominał jej tyle dobrych chwil tam spędzonych.

Ale nagle niepokój przykry zagłuszył pogodny nastrój jej duszy. A jeżeli oni już wiedzą o katastrofie jaka spotkała jej ojca? jeżeli już doszły do nich wieści szarpiące jego opinię i okrywające hańbą jej rodzinę??

Czyż dzisiaj oni nie mają prawa odwrócić się od niej i uznać ją jako niegodną siebie!? Jakże będzie śmiała stanąć teraz przed Frankiem i spojrzeć w jego dobre i uczciwe oczy? Przecież pamięta jak się zimno i niechętnie wyrażał o nowem zatrudnieniu jej ojca, które tak nagle zmieniło skromny tryb jego życia i całą jej rodzinę otoczyło zbytkiem i wygodami.

Może on teraz myśli, że i ona olśniona majątkiem przywykła do nowego życia, rozpacząć będzie nad zmianą, która zmusi je do powrócenia do dawnych skromnych wymagań pracy?

Ale nie! Franek zanadto jest sprawiedliwy i rozumny, żeby ją czynił odpowiedzialną za lekkomyślne postępowanie ojca, a przytem jakżeby mógł niewierzyć w jej miłość, skoro sama czuje, że wiarę w jego przywiązanie nicby nigdy zachwiać nie mogło.

Czyż nie pamięta tych słów tak głęboko utkwionych w jej duszy, które wymówił gdy się żegnali u Felki przed wyjazdem do Zakopanego.

— Pamiętaj Stasiu — powiedział wówczas — że cokolwiekby się stało, jakiekolwiek zmiany nastąpiły w twojem życiu, możesz zawsze liczyć na mnie, jak na oddanego ci i szczerego przyjaciela!!

Przypomnienie to nową otuchą napełniło serce Stasi i wierzący, szczęśliwy uśmiech rozpromienił jej zasmuconą twarz.

— Mam jednego przyjaciela we Franku, a drugiego w wujku — pocieszała się przyspieszając kroku. Czuję, że na nich nie zawiodę się nigdy i że tylko przez nich mogę być kiedyś szczęśliwą w życiu.

XVIII.

Nazajutrz koło południa, stosownie do obietnicy danej Stasi, Grodzicki zjawił się w mieszkaniu Gawlików.

Zastał Gawlikową zmienioną i silnie zdenerwowaną po nieprzespanej nocy, spędzonej na ponurych rozmyślaniach, przeplatanych wybuchami płaczu, krzykami i narzekaniami na niedołęstwo męża i bezlitosne zrządzenie losu. Na jego widok wybuchnęła nowym atakiem płaczu i niepomna na dawną urazę i niechęć, którą żywiła dla kuzyna, rzuciła się ku niemu z wyciągniętemi rękami.

— No co jest? Co? — pytała gorączkowo. — Widziałeś się z nim! Mówiłeś?

— Uspokój się przedewszystkiem — wyrzekł zimno Grodzicki, odsuwając ją lekko od siebie. — Bo w takim stanie, w jakim się znajdujesz, żadna rozmowa nie jest możliwa.

Zdjął zarzutkę i spokojnie usiadł na krześle pytając:

— Gdzie są dziewczęta?

— Kazia jest w swoim pokoju, a Stasia pomaga w kuchni, bo pokojówka odeszła — odpowiedziała Gawlikowa, starając się opanować wzruszenie.

— To bardzo dobrze, bo musimy pomówić o poważnych rzeczach, o których one niepotrzebują szczegółowo wiedzieć. Władka widziałem i położenie jego jest bardzo nie dobre.

— Jakto? co mówisz? Więc go nie myślą zaraz wypuścić. Trzeba było zaproponować kaucyę?

— Kaucya w tym wypadku na nic się nie przyda. Możnaby tak zrobić, gdyby tylko chodziło o te ukrywane towary.

— Więc jest jeszcze co innego? — szepnęła lękliwie Gawlikowa zteroryzowana bezwiednie powagą i spokojem Grodzickiego.

— Najgorsze jest to, że te towary Władek wziął na kredyt i teraz dostawcy upominają się o zapłatę.

— Na kredyt! To on niemiał gotówki do zapłacenia? oburzyła się Gawlikowa. — Przecież i teraz to zapłacić można i całą sprawę szybko załatwić.

— Możnaby gdyby były pieniądze.

— To on ich niema? A te w banku złożone.

Grodzicki potrząsł głową.

— Z pieniędzy tych już dawno śladu niema.

Na tę wiadomość Gawlikowa oniemiała na chwilę.

— To nie może być! — odezwała się po jakimś czasie z rozpaczonym głosem. — Były tam posagi dziewcząt!!

— Nie ma nic! — powtórzył Grodzicki. — Wczasie waszej nieobecności, musiał wpaść w jakieś ryzykowne interesa, które pochłonęły wszystko. A cóż ty myślisz, że wasz pobyt w Zakopanem nie kosztował tysięcy. Wyobrażam sobie, że nie żałowałyście sobie niczego — dodał z ironicznym uśmiechem. Zbytki, tualety, przyjęcia!

— Oh! ja nieszczęśliwa — zawodziła Gawlikowa — więc na to nam teraz przyszło! Ten niedołęga nie umiał nawet utrzymać tego, co się dorobił!!

— Władek jest tu najmniej winnym — odezwał się Grodzicki.

— Więc któż? poderwała się Gawlikowa. — Może ja!

— Oczywiście że ty! Gdyby nie ty i Kazia nie byłoby do tego przyszło! Przewróciło wam się w głowach i chciałyście za łatwo zdobyte pieniądze grać rolę wielkich pań. Wołałaś ciągle na Władka o pieniądze, skarżyłaś się na niedostatek i sama pchnęłaś go w fatalny wir tych interesów. On tylko zawinił słabością charakteru. Raz, drugi, udało mu się, a potem jak poznali jego łatwowierność to ją wykorzystali. Dał się poprosiu oszukać wspólnikom i koniec.

(Dalszy ciąg nastąpi).

ROBERT HICHENS.

Bella Donna

Tłómaczenie z angielskiego Marji Staraszewskiej.

TOM I.

44

Ruszył się, lecz wstrzymała go za rękę:

– Nigel!

– Co?

– Nie dzwoń na Marię!

– Dlaczego?

– To na nic się nie przyda.

– Czemu? chora?

– Odeszła.

– Odeszła?

Spojrzał na nieład w pokoju na rozrzucone ubranie.

– Teraz rozumiem ten nieporządek – rzekł – Lecz co się stało? ukradła coś, lub może powinienem był mieć jeszcze jedną kobietę w domu?

– Nie, nie; odprawiłam ją po przyjacielsku, gdyż myślałam, że będzie nam zawadzała w Fayum. Cobyśmy z nią robili w namiocie?

– Pozostaniesz bez pokojowej?

Oczy mu błysnęły z radości.

– Jesteś niezrównana – zawołał.

Schylił się, objął ją ramieniem i złożył długi pocałunek.

– w taki sposób sobie radzisz! – dodał serdecznie z dobrym humorem, prostując się i rozglądając po pokoju: – Muszę się nauczyć rzemiosła pokojowej.

I zaczął się krzątać, znosząc wszystkie rzeczy na jedno miejsce i składając ubrania na sofie.

– Na przyszły raz uczynię lepiej – dodał, patrząc ze skruchą na swe dzieło – a teraz zawołam Hassana, żeby nam przyniósł herbatę, a kiedy pić skończymy, opowiem ci o naszym obozie w Fayum. I pomyśleć, że rozstałaś się z pokojową!

Znów serdecznie ją ucałował i wyszedł. Zaraz po jego wyjściu Mrs. Armine wstała. Musiała szukać, gdzie jej ubranie, nie mogła nic znaleźć. Jak to było głupio bez pokojowej! Teraz, kiedy Nigel powrócił, i nie mogła widywać się Barendim, tem bardziej żałowała, że odprawiła Marię. Czy byłoby bardzo nierozsądnie ją zatrzymać? Otwierała szufladę po szufladzie. Była zmęczona, zgrzana, zanim znalazła czego jej było potrzeba. Jakiem będzie życie w namiocie? Słabo jej się czyniło na myśl co ją czeka. Ah! tu był koronkowy szal nareszcie! Wyciągnęła go gwałtownie, i nałożyła byle jak; lecz nagle jej prawdziwa natura się odezwała. Podeszła do lustra i starannie ułożyła. Poczem skromnie się zaczesała i przyglądała się przez chwilę. Czy nowa prawda życia odbiła się na jej twarzy, na jej postaci? Widziała przed sobą kobietę, tryskającą życiem. Oczy odpocząwszy we śnie, jaśniały pełne obietnic rozkoszy; usta były świeże, wilgotne; kibić wspaniała; cudowna linja szyi zachowała swą piękność. Egipt ją odmłodził i wiedziała dobrze dlaczego. Dla niej nowa prawda była bardzo widoczną, lecz nie dla Nigla. On ją odczyta niewłaściwie, weźmie je dla siebie, jak tylu zwiedzionych mężczyzn, od początku świata myślą: „to wszystko dla mnie!“ Długo wpatrywała się w swoje odbicie i cieszyła się zmianą, którą zauważyła, a ciesząc się doszła do postanowienia próżnej kobiety. Musi użyć całej swej woli żeby zatrzymać to indyjskie lato. Musi ujarzmić swą naturę, opanować namiętności, zmusić swój umysł do pogodnego przyjmowania wszelkich możliwych zdarzeń, szarości, opóźnienia, zmęczenia odgrywaną rolą, „emmi“ życia w namiocie *„solitude à deux“* w Fayum. Nie może dopuścić żeby jej piękność w pełnym rozkwicie została uszkodzoną przez zazdrość. W jej credo, piękność była wszystkiem dla kobiety i kobieta która ją straciła przestała się rachować, była zaledwo zaliczoną do rzędu żyjących. — Przygnębienie, które zapełniło jej noc przerażeniem, a ranek niepokojem opuściło ją. Mogła wierzyć, że złota przyszłość przed nią się otwiera, gdyż mogła wierzyć w swą własną piękność. Tego dnia oczarowała Nigla. Nie mógł jej niczego odmówić. I kiedy śmiejąc się, prosiła go, żeby, ponieważ zrzekła się pokojowej, pozwolił jej zabrać ze sobą do Fayum osła i poganiacza, natychmiast zezwolił.

– Zabierzemy Mohammeda, naturalnie, jeżeli chcesz – rzekł serdecznie – chociaż nie brak i tam poganiaczów.

– Pożegnałam się z Mohammedem – rzekła.

Zdziwił się.

– Pożegnałaś się? Cóż on uczynił?

– Właściwie nic, lecz wolę Hanzę.

– Modlącego się poganiacza osłów?

– Tak.

Chwilę milczała, poczem patrząc w dal, ciągnęła powoli:

– Jest w nim coś dziwnego, co mnie zaciekawia. Przypuszczam, że to pochodzi może z jego głębokiej wiary, silnego przywiązania do mahometanizmu. Nie mogę – nie mogę się powstrzymać od podziwiania go, i chciałabym żeby Hanza nam towarzyszył. On jest tak różny od innych.

I lżejszym tonem dodała;

– A zresztą jego osioł jest najlepszym na wybrzeżu. Pochodzi z Syryi. Daj mi Hanzę, jego osła i Ibrahima do usługi, a nigdy nie usłyszysz żadnej skargi odemnie, przyrzekam to.

– Naturalnie będziesz ich miała – rzekł – cenię człowieka, dla którego wiara ma znaczenie, nawet gdyby nie była i nigdy nie miała być moją wiarą.

Tak więc los Hanzy i Ibrahima został bardzo łatwo rozstrzygnięty.

Lecz kiedy Nigel zawołał Ibrahima i powiedział mu, że postanowił go zabrać wraz z Hanzą do Fayum, i żeby Hanzę o tem zawiadomił, Ibrahim miał wyraz powątpiewania.

– Wszystko co mój pan każe uczynię – lecz Hanza dużo zarabia w Luksorze niewiem czy pojedzie do Fayum.

Zwrócił się do Mrs. Armine.

– Jestem bardzo rad pojechać, lecz co do Hanzy niewiem.

Mówił z taką szczerością, że prawie uwierzyła, że może jakaś trudność rzeczywiście powstała.

– Powiedz mu, że mu dam tyle wiele zażąda – zawołał Nigel, a jestem pewien, że z ochotą pojedzie.

– Pójdę do niego mój panie.

– Będziesz go miała, Ruby, jakąkolwiek będzie jego cena – rzekł Nigel.

Ibrahim, z wielkim trudem, jak mówił, ułożył się z Hanzą i następnego dnia wila Androno, została pod strażą Hassana, a Arminowie wieczornym ekspresem pojechali do Kairu, gdzie mieli zabawić dwie doby, ażeby Mrs. Armine mogła oglądać piramidy i Sfinksa. Nigel zamówił pokoje w Mena House, z tarasem wychodzącym na piaski pustyni, wprost Wielkiej Piramidy.

Po śniadaniu u Thepheard'a, wsiedli do powozu i pojechali drogą Ismaili.

Nigel był w wybornem usposobieniu: zdawało mu się tego dnia, że jego życie doszło do zenitu, że czekała go radość ponad jego zasługę. W głębi serca był rad, że przestał być spadkobiercą rodzinnego tytułu i majątku. Gdyby je odziedziczył, położenie jego by oby trudniejszem, stosunek z Ruby bardziej skomplikowanym. Tak jak rzeczy stały oboje byli swobodni, jak wiatr. Dusza jego rwała się do wolności.

Czuję się dzisiaj jak koczownik – zawołał. – Na Jowisza! czy ci nie zimno? Otul się lepiej moja droga.

Owinął ją szczelnie futrem.

– Muszę być twoją panną służącą – dodał.

– Lecz będziesz pracował i polował – rzekła niskim głosem.

Twarz jej była zasłonięta welonem, który przygłuszył jej słowa.

– Ty esteś na pierwszym planie. Będę się zajmował tobą przedewszystkiem – rzekł.

Podniosła welon oswabadzając usta.

– Lecz ja pragnę, żeby praca była na pierwszym miejscu – mówiła z większą energią, nienawidzę jak kobieta wychodzi za człowieka którego charakter podziwia, a później stara się go zmienić, czyniąc go z prawdziwego mężczyzny – rodzaem panny służącej. Nie, Nigel, zajmij się swoją pracą, a sobie dam radę.

Czuła, że nie mogłaby znieść jego ciągłego zajmowania się nią w Fayum. A przecież pragnęła go mieć za niewolnika, zawsze pragnęła być uwielbianą przez mężczyzn. Lecz było w niej coś co przewyższało nawet jej próżność.

– Zobaczymy – odrzekł praca nic nie ucierpi, Ruby. Teraz już dobrze widzisz piramidy?

Spojrzała poprzez piaski na te wielkie grobowce, które przyciągają świat do swych stóp.

– Chciałabym, żeby nie było tak strasznie zimno – rzekła.

A Barondi był w złocie Południa i może z „Pełnią Księżyca“.

Nie będzie tak źle jak dojedziemy do Mena House. Tutaj jest zawsze wietrzno w zimie.

– A w Fayum, czy tam zimno!

– Nie, nie tak. Tylko w nocy bywa czasem chłodno, i często jest gęsta mgła!

– Gęsta mgła!

– Lecz nam będzie ciepło i przytulnie w naszym namiocie i nie będziemy tego czuli.

A Lonlia kołysze się na Nilu w samem sercu złota! Serce jej zamarło. Lecz przypomniała sobie uczynione postanowienie. Jej próżność i to coś, co ponad nią górowało podały sobie ręce. Powóz lekko się toczył; konie szły raźnie; linia pustyni, blada i niepewna w tym wietrznym poranku, zarysowała się wyraźniej. Przy końcu drogi, ukazał się rząd osłów, pomiędzy którymi widniał gdzieniegdzie biały wielbłąd, przykryty czaprakiem. Gromada Egipcyan ich otaczała, spoglądając chciwemi oczami na powóz.

– Ah! — ah! – wołał woźnica. Konie zaczęły galopować, skręciły na prawo do ogrodu i stanęły przed Mena House.

W chwilę później Mrs. Armine stała na tarasie, zakończonym morzem jasno żółtego piasku. Nigel nadszedł, w kilka minut później.

– Zdaje się, że masz tutaj pełno znajomych – rzekła z lekkim przymusem.

– Kilku moich towarzyszów, przyjechało z Kairu, żeby spędzić tutaj kilka dni.

– Prawdopodobnie ze swemi żonami?

– Tak, niektórzy z nich. Naturalnie, przeszłej zimy, znalem dużo osób. Daleko cieplej tutaj. Jesteśmy na pełnem słońcu, a wiatru mniej. Czy nie wspaniała jest Wielka Piramida?

Wziął ją łagodnie za rękę.

– Sfinks jest poza nią. Chciałbym, żebyś go zobaczyła, poraz pierwszy o zmroku, Ruby.

– Jak chcesz – rzekła.

W głosie jej ciągle dźwięczał przymus.

Na werandzie, w hall'u hotelowym, będzie musiała rzucić rękawicę. Teraz jak wyszła za mąż i porzuciła dawniejszy tryb życia, zaczęła dbać o opinię świata i pragnęła do niego wrócić. Jako lady Harwich, towarzystwo musiałoby ją przyjmować. Patrząc na Wielką Piramidę myślała o tem, i słowa Nigla o Sfinksie trafiły do nieuważającego ucha. Przywoływać ją teraz właśnie do Mena House, uczynić krok nieroztropny. Lecz stąpał w ciemności.

Przy lunch'u w arabskim hall'u, oficerowie z garnizonu w Kairze i Abbassich ze swymi towarzyszkami, byli w większości. Znajomi Nigla siedzieli przy stolikach stojących z prawej i z lewej strony. W innych częściach sali, znajdowali się rozmaici dobrze znani Anglicy, którzy patrzyli na Mrs. Armine, wtedy, gdy im się zdawało, że tego nie widzi. Opodal siedzieli lord i lady Hayman i Murchison'owie.

Najbardziej wyrafinowany wróg Mrs. Armine nie mógł wynaleźć nic więcej irytującego dla niej w obecnem jej usposobieniu i stanie nerwów jak towarzystwo tych ludzi. Lecz żadnym ruchem, żadnem spojrzeniem tego nie zdradziła. Miała czas zapanować nad sobą, odzyskać zewnętrzną równowagę, lecz wewnątrz burza powstała. W przybytku jej duszy przyniesione na skrzydłach wichru, zgromadziły się geniusze nocy i ciemności. I kiedy zmrok zapadł, rzucając bladą tajemniczość na pustynię i cuda, które kryła, zagarnęły jej ducha.

Turyści, którzy w dzień snuli się koło piramid, wracali do Kairu tramwajami lub powozami, lub siedzieli w hotelu przy herbacie, kiedy Arminowie, na osłach pojechali do Sfinksa. Zbliżali się do niego z tyłu. Wicher ustał i pomimo, że wieczór nie był ciepłym, ostrość poranku ustąpiła miejsca łagodniejszej temperaturze. Daleko poprzez piaski i Nil, widniały światła Kairu. Wśród ciszy tej obecnie pustej pustyni, jechali w milczeniu, dopóki w szarym mroku nie ujrzeli rodzaj wydmy.

– Czy widzisz to Ruby? – zapytał Nigel ściągając cugle.

– To coś, podobnego do olbrzymiego grzyba? Tak – co to?

– To Sfinks.

– To! – zawołała.

– Tak, lecz tylko to tył jego głowy. Całe ciało jest zakryte. Poczekaj, objedziemy w koło i staniemy przed nim.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Kronika tygodniowa

Profesor Einstein nie spodziewał się nawet zapewne, że jego teorye o względności znajdą w kronikarzu „Nowości Ilustrowanych" komentatora, nie w tym duchu wprawdzie, jak on je pojmuje, w każdym jednak razie w podobnym, a ogół może nawet i bardziej obchodzącym.

Mamy tu na myśli mianowicie bezwzględność, z jaką na szkodę głodującej publiczności postępują stale nasi panowie kupcy i przemysłowcy i względność, jaką wobec nich stosują nasze władze, powołane do walki z nimi.

Szkoda tylko, że się kronikarz spóźnił nieco z tym traktatem, byłby może zdobył ową nagrodę za najlepszą popularną pracę w tym kierunku, którą mu z przed nosa sprzątnął jakiś jegomość z Amsterdamu. A nagroda ta była wypłaconą w funtach szterlingów, za które stanowczo więcej można kupić, niż za funty (w dosłownem znaczeniu!...) naszych marek. Kronikarz nie ma jednak szczęścia do nagród. I w tym roku ominęła go nagroda z fundacyi Nobla, której tak był pewnym, że na jej poczet pożyczył sobie od Weronikí sto marek „na drobne wydatki", a teraz jest w kłopocie, skąd wziąć, aby oddać. A byłby przyjął pierwszą lepszą, choć właściwie należała mu się pokojowa, ewentualnie z zakresu literatury lub medycyny, gdyż dał chyba dość dowodów, że umie dobrze radzić, niestety, tylko innym nie sobie. Ale i tam trzeba widocznie mieć protekcyę, a prawdziwa zasługa nie spotyka się z należytem uznaniem.

Spóźnił się zatem z rozprawą o względności, ale dziś, choć świat stał się wyznawcą angielskiej zasady, że „czas to pieniądz", spóźnianie się należy do rzeczy codziennych. Oto, dajmy na to, narzeka jeden z Czytelników, że „Nowości Ilustrowane" nie dały dotąd wzmianki o pobycie Naczelnika Państwa w Paryżu. Przyznajemy mu zupełną racyę, ale cóż na to poradzić, gdy na dwa tygodnie przed ową wizytą zwróciliśmy się do naszego paryskiego korespondenta z prośbą o fotografie, a tu dwa tygodnie już minęły od powrotu Naczelnika Państwa do Warszawy, a odpowiedzi dotąd niema, nie jesteśmy nawet pewni, czy list doszedł już na miejsce przeznaczenia. Obecnie porto od listu zagranicznego jest bardzo wysokie, wynosi bowiem dziesięć marek, ale też trzeba przyznać, że list idzie za to przynajmniej dziesięć razy dłużej, niż to było przed wojną, gdy na przebycie tej drogi potrzebował najwyżej dwa do trzech dni.

Chociaż więc nagrody za popularną rozprawę na temat teoryi Einsteina nie uzyska, zabiera jednak kronikarz głos w tej sprawie w interesie ogółu. Sprawa to zaś bardzo żywotna, gdyż stoi w ścisłym związku z aprowizacyą, a nie trzeba o tem zapominać, że połowę wielkiego postu mamy już za sobą, że niniejsza kronika jest czwartą z rzędu w cyklu „gorzkich żalów", i jeszcze dwie takie, a następująca po nich trzecia przyniesie już życzenia „wesołego Alleluja". Kto więc chce godnie spędzić święta wielkanocne, powinien już teraz zacząć do nich czynić przygotowania, w miarę bowiem ich zbliżania się, zaczną się ceny znowu gwałtownie podnosić, a Urząd walki z lichwą postąpi bardzo względnie wobec bezwzględnych wampirów, kierując się zapewne słowami Pisma św.: „Panie, przebacz im, albowiem nie wiedzą, co czynią".

Kto zatem chce spędzić święta „godnie" a nie „głodnie", niechaj już teraz o nich pamięta i robi zapasy. Przepowiadają (ci którzy je mają na sprzedaż, a tacy są w tym kierunku nieomylni...), że przed samemi świętami jajko dojdzie do pięćdziesięciu marek, kilogram masła do tysiąca, tak samo mąka, szynki i kiełbasy, wogóle wszystko, co ma jakąś łączność z tradycyami wielkanocnemi.

I dlatego nie zdziwił się kronikarz bynajmniej, gdy w pewnym domu obywatelskim spostrzegł dziwną metamorfozę. W szafie, która za dawniejszych czasów służyła za schowek na artykuły spożywcze, chowa obecnie pan domu banknoty, ma ich bowiem tyle, że w kasie ogniotrwałej nie zmieściłaby się ich ani połowa. „Wertheimowską" zaś zaanektowała pani domu, i tam ukryła kilogram cukru, dwa kilo mąki, dwanaście jaj... To jej duma i powód zazdrości przyjaciółek, zarazem nadzieja, że święta wypadną w tym domu jak się należy, o ile, naturalnie w międzyczasie małżonek nie dostanie się do nich za pasiKarstwo, bo ten nieszczęście lubi chodzić po ludziach, nie po lesie.

Kogo zatem na to stać, aby w myśl tradycyi ojców naszych miał czem zadowolić i oko i podniebienie, niechaj już dziś skrzętnie zabiega a znosi, niczem owa mrówka z bajki, lub pszczółka. Ceny podskoczą, podskoczą może i wynagrodzenia pracowników, ale tym drugim idzie to jakoś bardzo niezdarnie, jak gdyby nie uczyły się nigdy gimnastyki.

Pozostawić zatem nie ulega kwestyi, że da się nam porządnie odczuć bezwzględność kupców i przemysłowców, byłoby wskazanem, aby odnośne władze, w szczególności zaś Urząd walki z lichwą wziął raz nareszcie rozbrat z dotychczasową względnością, czem, jak już w poprzedniej kronice zaznaczyliśmy, zdobyłaby sobie wdzięczność naszych żołądków, kurczących się coraz bardziej.

Jak zaś piękne pole otwiera się do popisu w kierunku tępienia lichwy żywnościowej, tego dowodem rozprawa konkursowa na temat teoryi Einsteina, mająca być ogłoszoną w rocznikach Akademii Umiejętności, o ile naturalnie nie stanie tema nic na przeszkodzie.

Tytuł jej: „Czy względy oddalenia od Rynku Głównego mogą mieć wpływ na uczciwość kupiecką", a treść może Urzędowi lichwy posłużyć jako wskazówka, w którą stronę należałoby wysilać swą energię i to możliwie jak najrychlej, zanim połowa podatników wymrze z głodu.

Rozchodzi się w tym wypadku o taki błahy przedmiot, jak tak zwane „Homeesanki", to jest zdrowotne pierniczki w guście dawnych „Albertków". Wyrabia je jakaś firma w Poznańskiem, a na etykietach, jak gdyby na urągowisko, dodaje, że można się niemi objeść bez obawy o swój żołądek. Rulonik zawierający dziesięć sztuk, kosztował do niedawna dwadzieścia marek. Cena stosunkowo dość jeszcze, jak na obecne warunki, przystępna, choć przed wojną nie płaciłoby się za nie więcej, jak dwadzieścia halerzy. Ale trudno!... To są dobroczynne następstwa wojny światowej.

Dla rodziny złożonej z kilku osób, takie dwa rulony mogły zastąpić pieczywo do podwieczorku lub herbaty, było smaczne, zwłaszcza zaś pożywne. Otrzymawszy trzy lub cztery sztuki, najadł się każdy z członków rodziny już samym ich widokiem. Przyjmowało się też i gości herbatą gorącą i „Homeesankami", bo nie każdego stać na bułki i masło.

Otóż i kronikarz od czasu do czasu chcąc rodzinie i sobie zrobić przyjemność, kupował za dwadzieścia marek rulon „Homeesanków". Każdego z członków rodziny obdarzył jedną sztuką, a sam zjadał resztę, co względnie dobrze, zupełnie tak, jak to uwidocznione jest na etykiecie wpłynęło na stan jego zdrowia. Nie zauważył nigdy skutków ujemnych, owszem, prawdę mówiąc, to się nimi nigdy nie objadał, ze względu, że w rulonie jest pierniczków dziesięć, a rodzina kronikarska składa się z kilku osób.

Kłót jednak opisze zdumienie amatora „Homeesanków", gdy się dwa tygodnie temu dowiedział, że w sklepie pana X-a, na Rynku głównym, kosztują już dwadzieścia jeden marek, w sąsiedniej zaś, od Rynku wiodącej ulicy, od poprzedniego lokalu o czterysta kroków, żąda pan Y za nie dwadzieścia pięć, o ete pięćdziesiąt zaś dalej, pan Z. aż trzydzieści marek!

Podwyżka o jedną markę w handlu X-a jest tak małoznaczna, że można ją ostatecznie przeboleć, jeśli jednak X. może je sprzedać po tej cenie (a z pewnością na tem nie traci!...), dlaczego Y. i Z. żąda, jeden dwadzieścia pięć, drugi zaś aż trzydzieści marek? Kronikarz lubi urządzać „wywiady", zainterpelował też najpierw pana X-a o powód podwyżki i dowiedział się, że jest ona następstwem podniesienia opłaty kolejowej, jest to bowiem świeży transport. To wytłómaczenie przyjął do wiadomości i z kolei zwrócił uwagę pana Ypsylona, że skoro X sprzedaje taniej, i on powinien się do tych cen stosować.

— X może tak sprzedawać — odparł — gdyż je sprowadza wagonami... Ja kupuję w mniejszej ilości, kosztują mnie zatem drożej!...

— A nie byłoby wskazanem z kimś do spółki sprowadzić cały wagon?...

— Ani mi się śni. Spółek nie lubię, gdyż wspólnicy patrzą tylko na to, aby jeden oszukał drugiego, poza tem poco ja się mam zyskiem dzielić z drugim, gdy go mogę sam schować do kieszeni... W mojej kasie jest dość jeszcze miejsca...

Trzeci, pan Z, oświadczył, że cena trzydzieści marek wypadła mu „z kalkulacyi"...

— Co ja na to poradzę — tłómaczył — że rachunek tak wykazuje... A dokładać do nich nie myślę!... Zresztą nie jest to artykuł codziennego użytku lecz towar luksusowy... Bez jedzenia „Homeesanków" można żyć, a kto je chce jeść, niech za nie płaci...

Zestawiając ze sobą te trzy wywiady, doszedł kronikarz do przeświadczenia, że cena dwadzieścia jeden marek jest usprawiedliwiona, dwie następne są jednak pokrzywdzeniem konsumenta, który, prawda i to, bez „Homeesanków" obejść się może, nie powinien być atoli narażonym na takie bezwzględne zdzierstwo, jak zwłaszcza w trzecim wypadku. Jeżeli może po takiej cenie sprzedawać X., może i Y i Z., a jeśli nie mogą, niech tego artykułu nie prowadzą, a publiczność trafi po to do X-a.

Dobrze jeszcze, że któryś z tych panów nie powiedział, iż do swego lokalu gości gwałtem nie ciągnie, znamy bowiem wypadek, że pewien kupiec, interesantowi, który wystąpił z jakiemś zażaleniem, wręcz odpowiedział:

— A czy ja pana prosiłem, aby pan tu przychodził?

Fakt powyższy nie jest bynajmniej z palca wyssany, ale stwierdzony przez samego kronikarza. A jest to tylko słaba illustracya tego, z czem się musi walczyć na każdym kroku.

I zapytać się godzi, czy na to niema rady, czy nasze władze są bezsilne wobec tej bezwzględności naszych niektórych kupców i przemysłowców, czy też kierują się wobec nich jakimiś zrozumieć się nie dającymi, ale idącymi stanowczo za daleko względami?... Sama publiczność obronić się przed tym wyzyskiem nie potrafi, jeśli władza nie przyjdzie jej z wydatną pomocą i nie będzie przestrzegać, aby każdy kupiec miał cennik, przez nią zatwierdzony, ale nie na „własnej kalkulacyi" oparty i aby się go ściśle trzymał.

Jednostki z pośród publiczności występują wprawdzie niekiedy i bardzo energicznie przeciw wyzyskowi, jest to jednak walka z wiatrakami, zwłaszcza, że nie chce wziąć w niej udziału cały ogół. Znajdą się zaraz jednostki, nie liczące się z groszem, które żołądkowi swemu nie są w stanie niczego odmówić, sprzedający nie obawia się zatem, aby mu się towar miał zepsuć. Ci zaś, którzy ośmielają się jawnie wystąpić przeciw kupieckiej bezwzględności, a jest ich, niestety, bardzo mało, narażają się na to, że im potem nikt nic nie sprzeda, że zatem skazani są na powolną śmierć głodową.

Oczywiście nie winimy tu ogółu naszego kupiectwa, między którem jest jeszcze wielu takich, którzy zadowalniają się uczciwym zarobkiem (jedni z wrodzonej uczciwości, inni bojąc się ze strachu przed kryminałem...). Przyznać trzeba, że w okresie wojennym zanieczyściły się szeregi naszego kupiectwa niepożądanym zgoła nabytkiem. Handlu, jawnego i pokątnego, chwyciły się jednostki, nie mające dotąd nic wspólnego ze stanem kupieckim. Takich Gawlików namnożyło się u nas, niczem grzybów po deszczu. Gnała ich gorączka złota, należałoby sobie też życzyć, aby ich zagnała jak najrychlej do bezpiecznego i spokojnego portu... do kryminału, w którym choć panuje obecnie przeludnienie, ale przecież dla nich znajdzie się jakiś kącik, gdzie mogliby odpocząć po swej obywatelskiej pracy. Oni to przynoszą wstyd stanowi kupieckiemu do którego się nieprawnie zaliczają, i samo kupiectwo, w swym własnym, dobrze zrozumianym interesie, powinno się postarać o ich unieszkodliwienie.

Gorzkie to, naprawdę, żale, bolączka, która daje się odczuwać zwłaszcza proletaryatowi inteligencyi, zmuszonemu, wbrew swej woli, wstępować w ślady burmistrza z Corku, Mac Swineya. Dziesięć tysięcy marek miesięcznego dochodu wobec tych stosunków nie wystarczają rodzinie, złożonej z trzech tylko osób, na bardzo skromną wegetacyę (życiem tego nazwać nie można...) warunki bytu z każdym zaś dniem stają się coraz trudniejsze, drożyzna podskakuje z zawrotną szybkością, a tu do tego jak gdyby na urągowisko, władze centralne, zamiast jej kres położyć, przyczyniają się jeszcze do jej zwiększenia. „Pasek" ciśnie nas coraz bardziej, ale jest zbyt silny i jakoś pęknąć nie może...

Chyba nikt nie zaprzeczy, że mamy dość powodów do narzekania, i że te powody są zupełnie uzasadnione. Odzywają się wprawdzie głosy, że trzeba tylko cierpliwości, a przetrzyma się wszystko, ale nie należy o tem zapominać, że i cierpliwość ma swoje granice i raz musi się wyczerpać.



w Polsce, która chwyciła się bardzo radykalnego a skutecznego środka pobudzenia ofiarności publicznej. Oto w pewnych odstępach czasu ogłasza publicznie nazwiska tych wszystkich, którzy obowiązków obywatelskich należycie nie spełniają. Też łomżyńscy bogacze nie mogą się wykupić kilkudziesięciu markami, rzuconemi „łaskawie", jako odczepne na cel narodowy.

Komitet łomżyński, w którego ślady powinny pójść wszystkie nasze komitety składają p. p: A. Cholewiński (prezes), por. K Kierkowski, prezydent miasta W. Świderski, zastępca starosty Dr Żuk, Z. Cholewińska i inspektor szkolny Rzędowski.

Z ruchu plebiscytowego na Górnym Śląsku.

Oczy i uwaga całej Polski zwrócone są obecnie na Górny Śląsk, gdzie, jeżeli nie zajdzie jakaś niespodzianka, w niedługim już czasie mamy stanąć do rozprawy ostatecznej z zażartym wrogiem. Nie będzie to rozprawa orężna, nie zmniejsza to znaczenia, jakie ma dla obu stron walczących.

Obaj zapaśnicy przygotowują się też poważnie do zbliżającej się walki, do której my stajemy zbrojni w ufność, że słuszność jest po naszej stronie. Ale przeciwnik nasz jest potężny i nie przebiera w środkach, aby ze swych szponów nie wypuścić tego, co się tam raz dostało, nie żałuje też pieniędzy na agitacyę plebiscytową, wiadomo zaś, że jest to bardzo „wymowny" argument, zdolny przekonać nawet na oko nieprzejednanych.

Nas nie stać na to, abyśmy sypali złotem, jak strona przeciwna, mimo to, nie żałuje naród polski najdalej idących wysiłków, aby ratować te setki tysięcy dusz i serc polskich, skazanych na powolne wynarodowienie. Ślązak jest twardy i nie poddaje się tak łatwo poczucia swego narodowego pomimo niewoli dotąd nie zatracił, nie trzeba go też w tym kierunku dopiero uświadamiać. Agitacya przedplebiscytowa ogranicza się też z naszej strony do odpierania zarzutów i oszczerstw, któremi nas przeciwnik w oczach ludu śląskiego chce zohydzić i zachęcania, aby nie ustawali w pracy narodowej, tak pięknie, pomimo ucisku, rozwijającej się. Dajemy przez to dowód, że serce nasze zwraca się ku Ślązakom, którym ufamy, że godnie spełnią swój narodowy obowiązek.

Praca w tym kierunku wrze też na całym obszarze plebiscytowym. Niepoślednią rolę odgrywa też między innemi i żywe słowo, rozbrzmiewające nie tylko z mownicy, ale i sceny teatralnej i estrady koncertowej. Patryota śląski radnje się, słysząc rzewne melodye narodowe, dotąd mu nie znane, których słowa podnoszą w nim ducha i dodają sił do walki.

Ten sposób agitacyi działa więcej nawet, niż najpiękniejsza mowa, przemawia bowiem do serc ludzi nawet politycznie nieuświadomionych, budząc w nich iskierkę poczucia narodowego, która gdzieś tam w głębi tleje pod popiołem zapomnienia.

Szczera wdzięczność i uznanie należy się też p. Erazmie Kopaczyńskiej, Lwowiance, uczenicy szkoły śpiewu Kozłowskiej, która objeżdża miejscowości Górnego Śląska, występując wszędzie z koncertami, cieszącemi się ogólnem uznaniem i budzącemi żywe



Z ruchu plebiscytowego na Górnym Śląsku: Artystka śpiewaczka Erazma Kopaczyńska.

zainteresowanie. Głos jej sopranowy, nader miły i dźwięczny, o szerokiej skali i wysokiem napięciu, rokuje artystce świetną karyerę sceniczną, na którą sobie w całej pełni zasłużyła, nie żałując swojego talentu, gdy szło o sprawę narodową. Artystka bodaj w ten sposób stara się dołożyć swoją cegiełkę do ogólnej budowy naszego narodowego zjednoczenia.

Clemenceau na wywczasach.

„Stary tygrys", były prezydent gabinetu francuskiego i minister spraw zagranicznych, Clemenceau, to polityk z rzędu tych, który mogą sobie powiedzieć, że program swój przeprowadzili do ostatniego punktu. Celem jego całego życia, jako Francuza, kochającego gorąco swój kraj, było zniszczenie potęgi niemieckiej, zagrażającej jego ojczyźnie i rewanż za rok 1871. Od pierwszych też chwil wstąpienia w szranki życia politycznego manifestował się stale jako nieprzejednany wróg żywiołu germańskiego a niechęci ku wszystkiemu, co niemieckie, dawał stale wyraz w swych występach w Izbie deputowanych i pracach publicystycznych. Z zawodu lekarz, praktyką się nie trudnił, całe swe życie poświęcając polityce.

I u schyłku życia, a zatem i karyery politycznej, danem mu było doczekać ziszczenia się marzeń i to świetniejszego nawet, niż się mógł spodziewać. Widział Francyę tryumfującą, a u jej stóp pokonanego wroga, a wewnątrz przekonanie i opinia publiczna mówiły, że jest jednym z tych, którzy się do tego głównie przyczynili. Naród francuski otacza go też zasłużonym szacunkiem, ceniąc w nim gorącego patryotę i wytrawnego męża stanu.

Osiągnąwszy cel swego życia, po doprowadzeniu do skutku traktatu wersalskiego, powiedział sobie „stary tygrys", jak go popularnie nazywają rodacy, że i jemu należy się odpoczynek i wycofał się z życia publicznego, bodaj na razie, nie jest bowiem wykluczone, że doń jeszcze powróci.

Obecnie podróżuje Clemenceau po Indyach, polując na prawdziwe tygrysy, przyjmowany wszędzie owacyjnie, jako jeden z tych polityków, których nazwiska głośne są w całym świecie.

Umysł jego ruchliwy nie pozwoli mu przecież próżnować i podczas wakacyjnych wywczasów. I tu potrafił połączyć pożyteczne z przyjemnem, agitując wszędzie bardzo żywo na rzecz swej ojczyzny, która może być naprawdę dumna z takiego obywatela.



Clemenceau na wywczasach: Były francuski prezydent ministrów Clemenceau w otoczeniu u maharadży Gwalioru i Bikaniru po polowaniu na tygrysy.



Krwawe żniwo bolszewickie: Zwłoki ofiary z której z rozkazu płoskirowskich komisarzy darto żywcem pasy skóry.

Krwawe żniwo bolszewickie.

Jednym z najbardziej piekielnych wymysłów „raju bolszewickiego“ są tak osławione w całym świecie „czerezwyczajki“ to jest doraźne sądy, mające na celu radykalne tępienie wszelkich objawów reakcyi i oporu wobec władz sowieckich.

Z jaką bezwzględnością i wyrafinowanem okrucieństwem po tępują sobie wobec bezbronnej ludności, zdanej na ich łaskę i niełaskę szafarze bolszewickiej „sprawiedliwości“ rekrutującej się z pośród ostatnich wyrzutków społeczeństwa, wiemy o tem z opowiadań i opisów, mrożących poprostu krew w żyłach. Słysząc to i czytając, zadajemy sobie mimowoli pytanie: ludzie to czy szakale?... Nie brak także i takich, którzy choć z ruchem bolszewickim się bynajmniej nie solidaryzują, są przecież zdania, że opisy te są tendencyjnie, a może i bezwiednie przejaskrawione, bo na tyle barbarzyństwa i krwiożerczości nie potrafiłby się zdobyć człowiek, choćby nawet o najniższych instynktach.

A jednak, jak się okazuje, opisy te i opowiadania przejmujące każdego grozą, a przypominające rządy starożytnych tyranów, o których mówi poeta:

„Pod swoje stopy słał ludzkie czaszki
A niewolników prut dla igraszki
I przy ich jęku ucztował...“

nie są rzczym wymysłem ludzkiej przeczulonej wyobraźni, lecz rzeczywistością, stwierdzoną, w wypadku który podajemy, zdjęciem fotograficznem. A płyta aparatu nie oszukuje, a nie mając nerwów nie podlega kaprysom wyobraźni.

Zamieszczone w niniejszym numerze ilustracye, oto aż nazbyt wymowny dowód bolszewickiego raju którego widownią był Płoskirów przed niespełna miesiącem Stos trupów, to ofiary tamtejszej „czerezwyczajki“, która jak widać urzędowała bardzo energicznie. Trumna ze zwłokami, to nieszczęśliwy, któremu panowie komisarze kazali drzeć żywcem pasy skóry.

A fakty podobne nie są bynajmniej odosobnione. Powtarzają się, one stale i wszędzie, gdzie tylko „czerezwyczajki“ rozwiną swą działalność, nie wszystkie przecież dostają się do wiadomości publicznej.

A wszystko to dzieje się w imię wolności i rzekomo dla dobra ludu pracującego!..

Od wydawnictwa.

Szanownych P. T. Odbiorców prowincyonalnych prosimy o wyrównanie zaległych rachunków, w przeciwnym razie wstrzymamy wysyłkę.



Krwawe żniwo bolszewickie: Trupy pomordowanych w piwnicy płoskirowskiej „czerezwyczajki“.

Z TEATRU.

„Romeo i Julia“ w Teatrze powszechnym.

Wśród powodzi bezwartościowych i płytkich sztuk i operetek wystawianych w naszych teatrach, niesłychanie korzystnie odbiło się przedstawienie „Romea i Julii“ Szekspira, wystawionych w miejskim Teatrze powszechnym.

Tragedyi genialnego twórcy wysłuchano z przejęciem i pietyzmem, a przez cały czas przedstawienia unosił się nad widownią podniosły, niepowszedni nastrój, nie mający nic wspólnego z codzienną teatralną atmosferą.

Duże też uznanie należy się dyr. Wiśniowskiemu za sięgnięcie do wielkiego repertuaru i chęć podniesienia smaku i upodobań, ku uznanym, wartościowym utworom.

Z natury rzeczy prawie cała uwaga widzów skupiła się na dwóch g ównych wykonawcach tytułowych ról t. j. p. J ninie Morskiej (Julii) i p. Januszu Nowackim (Romeo), którzy potrafili tyle piękna i poezyi wydobyć ze swych ról, iż stali się ich idealnymi wykonawcami.

Już sama postać pani Morskiej nadaje się zupełnie do roli Julii, posiada bowiem wiele wrodzonego wdzięku i uroku. Prześlicznie wygłaszała szekspirowskie wiersze, zwłaszcza w scenie balkonowej i celi ojca Laurentego, pełna miłości, sentymentu i smutku, którym ta postać jest przepojona.

Pan Nowacki odtworzył bardzo dobrze Romea, jako młodzieńca pełnego tkliwych a namiętnych uczuć wybuchających stopniowo całą potęgą aż do ostatniej chwili tragicznej śmierci. W pozach i wyrazie był po malarsku znakomity, do czego przyczyniły się także, piękne kostyumy.

Zresztą cały zespół dostrojony był doskonale i stanął na wysokości trudnego zadania. Nie było ani jednego dysonansu i dysharmonii, a każda nawet najmniejsza scena i rólka była skończenie opracowana dość wspomnieć role: O. Laurentego, Parysa, Merkutia, Tybalda, Marty i Piotra.

Również strona dekoracyjna była nadzwyczaj starannie przygotowana i pomyślana, a w szczególności widok Werony i ogród Kapuletów w świetle księżyca.

W niniejszym numerze zamieszczamy podobizny obydwojga wykonawców rol tytułowych p. Morskiej i p. Nowackiego.



„Romeo i Julia“ w Teatrze powszechnym: Art. dram. J. Nowacki, wykonawca roli Romea.



„Romeo i Julia“ w Teatrze powszechnym: Art. dram. Janina Morska, odtwórczyni roli Julii

Od Redakcyi.

Zwracamy uwagę P. T. Czytelników, że jedynie ci są uprawnieni do ubiegania się o nagrody, którzy nadeślą rozwiązania wszystkich zagadek.

Zagadki do nagrody.

Logogryf.

Ułożył N. N., Kraków.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Rząd środkowy, czytany z góry na dół. poda imię jednego z europejskich władców:

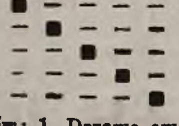


Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska, 2. Rzeka w Rosyi południowej 3. Imię żeńskie, 4. Polski pamiętnikarz. 5. Utwór Kochanowskiego, 6 Część budynku. 7 Przyjemność zimowa, 8. Popularna słabość, 9. Zwierzę drapieżne, 10. Spółgłoska.

Kwadrat magiczny.

Ułożył S. Bielas, Sanok.

Kwadraty i kreski zastąpić literami aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Litery wstawione w miejsce kwadratów, czytane z gory na dół, utworzą nazwę wielkopostnej potrawy:



Znaczenie wyrazów: 1. Drzewo owocowe, 2. Imię męskie, 3. Wyspa na morzu Srodziemnem, 4. Imię żeńskie, 5. Dawna miara długości.

Okienko.

Ułożył L. Ciechocki, Tarnów.

Z podanych liter ułożyć trzy wyrazy równobrzmiące w kierunku pionowym i poziomym:

a, a, a, a,
a, a, k, l,
m, n, n, r,
r. r, u u.

Znaczenie wyrazów: 1. Rzeka w Rosyi, 2. Rzeka w Syberyi, 3. Rzeka w jednej z dawn. austr. prowincyi, 4. Jezioro w Azyi.

REBUS.



Zagadka literacka.

Ułożył S. Kejzyk, Warszawa.

Odgadnąć tytuły utworów podanych pisarzy. Początkowe ich głoski, czytane z góry na dół, utworzą tytuł utworu J. Słowackiego:

Jeż ?
Żuławski ?
Czajkowski ?
Prus ?
Rzewuski ?
Sienkiewicz ?
Krasiński ?

Zadanie do uzupełnienia.

Ułożył M. Żak, Kraków.

W miejsce kresek wstawić odpowiednie spółgłoski, a powstanie dawna studencka piosenka karnawałowa:

--n--J---a--e--o-o--y-a,
-a--y-a-ą---ą--n-y-a,
A u---io-ie----e-s-io--ą,
I-i-o-ą---a---ie-io-ą!

Zadanie na rozsypane litery.

Ułożył J. O., Kalisz.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

a, e, c, d, e, o, h, i, i, i, k, l, l, l, ł, n, o, o, w, z.

Łamigłówka.

Ułożył X. Y., Kraków.

Z każdego wyrazu wyjąć dwie obok siebie stojące głoski, a otrzymamy nazwę pewnego wesołego dnia:

Kotły, Rusin, Otynia, poczwarka, sowa, kartacz, Pasek.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania dwie nagrody: 1) Album Legionów polskich; 2) Kalendarz famílijny na r. 1921.

Rozwiązanie zagadek z Nru 8

Okienko: Biała, Ateny, Aryon.

Grzebieniówka: Veto, e, Numa, i zeta, e, liga, o, Soła

Zadanie na rozsypane litery: Fortuna kołem się toczy.

Rebus: Dobre lub złe imię. oto wszystko co pozostawiamy po sobie na świecie.

Kwadrat magiczny: Gama, Amor, molo, Aron.

Dobre rozwiązania nadesłali pp.: S Sadowski Warszawa, J. Bielawski Rzeszów, J. Jabłoński Lublin, Z. Zawadzki Wadowice, S. Zajączkowski Poznań, S. Sokołowski Lwów, S. Zakrzewski Sandomierz. S Sygowska Rzeszów, S. Grabowski Wadowice, H. Walewska Kraków, J Martynowicz Kraków, M. Ogibińska Nowy Sącz, K. Dębiński Jasło, H. Zamocka Stanisławów, W. Witowska Warszawa, J. Nowak Sandomierz, J. Opolski Łódź, S. Piekarski Poznań, M. Wysocka Jasło M. Woźniakowski Warszawa, W. Lange Toruń J. Kalinowski Poznań, K. Dębicki Sambor, S. Marzec Krasne, M. Mańkowska Warszawa, K. Wacławik Łódź, S. Balicki Radom. W. Raczyński Kraków, K. Borkowski Kraków, W. Śmieszek Lublin, W. Zubicka Warszawa, M. Jasińska Lwów. M. Gross Tarnów M. Ostrowska Lwów, K. Zieliński Zalesie, M Michalczyk Poznań, M. Waszkiewicz Lwów, K. Radziszewski Warszawa. H. Waligórski Tarnów, M. Kwiatkowska Warszawa. H. Maciejowski Winnica, H. Malinowska Rzeczyce, W. Dutkiewicz Przemyśl, J. Martynowicz Lwów, H. Galińska Tarnów, W. Rozwadowski Poznań, M. Wacyk Lwów, M. Więckowski Warszawa, E. Dąbrowska Warszawa, J. Orzechowski Stryj, J. Wierzbicki Piotrków, K. Grzybowski Kraków. C. Górny Limanowa, A. Rapczyński Przemyśl, M. Brandys Kraków, H Gabrysiowa Kraków, S. Zajączkowski Rzeszów

Nagrody przez losowanie otrzymali: 1) S. Sadowski, Warszawa (książka), 2) M. Michalczyk, Poznań (Kalendarz). Upraszamy o nadesłanie należytości na koszta poleconej przesyłki nagrody.

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor: Julian Bartoszewicz. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina pod zarz. St. Karczmarskiego.